Adrianna Kozłowska

O północy, pod starym dębem

Elin powoli przemierzała opustoszałe miasteczko, spustoszone przez pożogę. Wiatr rozwiewał jej miedziane kosmyki, zawodząc upiornie i trzaskając okiennicami, mijanych domostw. Wokół panowała ciemność, którą rozjaśniały promienie księżyca, wyglądające zza gęstych, burzowych chmur.

Jedynie z ostatniego budynku, znajdującego się pod lasem, unosiły się kłęby dymu, a z okien wydobywało migotliwe światło. Nad dębowymi drzwiami, wisiała gwiazda runiczna, symbol głowy sabatu.

Elin chwyciła drewnianą kołatkę i załomotała. Gdy drzwi się otworzyły, stanęła w nich stara, zgarbiona Ingrid, w powłóczystych szatach.

– Nareszcie jesteś dziecko – powiedziała ochrypłym głosem. – Już myślałam, że porwały cię jakieś sowy, albo co gorsza młode kruczki – Ingrid pieszczotliwie pogładziła dziewczynę po policzku. „Kruczkami", zwykła nazywać młodych chłopców z okolicznych wsi.

– Wzywałaś, więc przybyłam – Elin pochyliła głowę. – Na chwałę słońca i księżyca.

– Nasze siostry na nas czekają – Ingrid wzięła ze swojego domu wykrzywioną miotłę i pociągnęła ostatni łyk płynu o ognistej barwie, który ściskała w dłoni. Elin podała staruszce wstążkę i zmarszczyła brwi, odbierając staruszce kubek i wąchając jego zawartość.

– Czy to przystoi głowie sabatu, by pojawiała się na spotkaniu, wstawiona jak marynarz z Północnych Mórz? – fuknęła.

– A co mi pozostało? Jedynie kubeczek do towarzystwa – żaliła się Ingrid. – To eliksir, który uwarzyłam wczoraj z kawałka mandragory, skrzeku wrony, łupieżu z głowy wdowy i ścięgien wilka. Oprócz tworzenia magicznych mikstur, żadnych innych rozrywek na stare lata, zaznawać nie mogę. Ani podpalać wsi dla uciechy – machnęła ręką w kierunku spalonej osady. – Ani zwabiać i jeść dzieci, ani zakwaszać mleka, czy zaciągać drwali w okoliczne krzaczki. Nic z uciech, jedynie reumatyzm i ból ucha.

Elin zaśmiała się i z czułością objęła staruszkę. Wiedziała, że Ingrid bardzo dokuczały złośliwe plotki, krążące o niej po całej okolicy. Zdawała sobie sprawę, że ze wszystkich powtarzanych przez wieśniaków historii, jedynie te o drwalach były prawdziwe.

– Pośpieszmy się, mamy czas tylko do piania pierwszego koguta – przypomniała.

Gdy obie skierowały się w stronę cmentarza, postawiły na nogi wszystkie uśpione wcześniej pokutujące dusze, licha i straszydła. Jazgot ich podekscytowanych głosów, przedarł się przez zawodzenie wiatru, roznosząc dookoła.

– Nie dzisiaj moi drodzy przyjaciele – pokiwała zmarszczonym palcem Ingrid. – Mamy zebranie sabatu.

Dusze jęknęły przeciągle i smutne powróciły do swoich grobów.

Gdy Elin i Ingrid opuściły cmentarz, wkroczyły w gęstą knieję. Za każdym razem kiedy przekraczały jej granicę, musiały trzymać się z daleka od innych ludzi. Zwykli wieśniacy mogliby przerazić się widokiem ich szmaragdowych, jaśniejących aur, których nie potrafiły ukryć przed wzrokiem śmiertelników, ilekroć wgłębiały się w las.

Skryte pod koroną drzew, wsiadły na swoje miotły, Elin na elegancką, wykonaną z olchy, Ingrid na starą i powykręcaną „Rumotkę", która rzadko słuchała swojej właścicielki. Staruszka nie raz pogruchała sobie przez nią kości, jednak nie chciała jej zmienić na żadną inną.

Obie wystartowały i znalazły się na miejscu spotkania, przed wybiciem północy.

Zebrania sabatu, odbywały się na szczytach surowych, niedostępnych gór, otaczających fiordy. Wśród wysokich klifów, żadne ludzkie oko, nie mogło przyłapać ich na czarach.

Po dotarciu na miejsce, zastały wszystkie swoje siostry, czekające w kręgu.

– Astrid, jak miło cię widzieć! Widzę, że nawet bokobrody oprószyła ci siwizna – zachichotała złośliwie Ingrid, ku oburzeniu starej widźmy, która pamiętała jeszcze pierwsze podboje wikingów. – O, Vilde myślałam, że w końcu dopadł cię motłoch i popieścił pochodnią stosik pod tobą – Ingrid z czułością witała się ze swoimi siostrami.

– To tylko złośliwe ploteczki moja kochana. Jak zwykle – Vilde złożyła dwa całusy na pomarszczonych policzkach głowy sabatu.

– A szkoda, a szkoda – chichotała Ingrid.

Gdy obraziła już wszystkie pozostałe wiedźmy, jak to miała w zwyczaju, zaczęła drugą część powitania, tą bardziej wylewną i pełną łez, kiedy wpadła każdej w ramiona i wyściskała z całych sił.

Zebranie rozpoczęło się o północy. Wiedźmy opowiadały sobie, co porabiały przez czas rozłąki, aż od nadmiaru ich silnych emocji, wokół zaczęło iskrzyć od magii. Czary przyciągnęły niezliczoną ilość karłów, trolli, elfów oraz gnomów, a także huldry, żeńskie demony, niosące w darze dzbany wina. Pojawiły się również koboldy, złośliwe krasnale, przez wiedźmy jednak traktowane przyjaźnie.

Z czasem rozpalono ogniska, a członkinie sabatu za pomocą czarów, odmłodziły swoje ciała i zaczęły tańczyć wokół ogni, dziko dziękując naturze, za dar życia. Gdy większość dzbanów, została opróżniona, głośne śmiechy oraz tańce, stały się bardziej dzikie i pierwotne.

Elin usiadła nieśmiało pod starym dębem, obok milczącej, ponurej Torill.

– Czy coś się stało? – zapytała z troską w głosie, zastanawiając się, dlaczego wiedźma nie uczestniczyła w zabawie.

– Wizje dziecko, wizje mnie nękają. Okropne wizje – westchnęła Torill.

– Jakie? – Elin z ciekawością przysunęła się bliżej.

Mimo, że każda z wiedźm, dysponowała darem jasnowidzenia, tylko nieliczne z nich, potrafiły odgonić mgły i snuły klarowne, jasne wizje. Jako potomkinie przedwiecznych Norn, wieszczek z plemienia olbrzymów, były silnie związane z ziemią i naturą. Ich prababki strzegące świętego jesionu Yggdrasila, w którego korzeniach znajdowało się dziewięć światów, nakazały im dbać o naturę na ziemi. Wiedźmy nie potrafiły, tak jak ich przodkinie na osnowie ze złotych nici, tkać ludzkich losów, posiadały jednak potężną magię, dzięki wypiciu z mrocznej studni Mimira. Umiały również zsyłać na ludzi, w zależności od swoich kapryśnych humorów, dobre lub złe sny.

– Widzę metalowe potwory pływające głęboko pod wodą, zabijające się nawzajem, a w ich trzewiach uwięzionych ludzi – westchnęła Torill. – Śnią mi się kule ogniste wychodzące z przedziwnych urządzeń. Dar pozwala mi zobaczyć zagładę lasów, a na ich świętych zgliszczach jakieś upiorne budynki, wielkie, zatruwające wszystko swoimi wymiocinami.

– Co ty mówisz – przeraziła się Elin.

– Magia, zaczyna umierać dziecko. Ludzie będą niszczyć nasze święte zagajniki i ściągać nas jak zwierzęta.

– Czy nadejdzie Ragnarok?

– Nie wiem, moja kochana. Cokolwiek się stanie, przyjdą okrutne czasy. Nawet jeśli nie nastąpi to w tym wieku, czy następnym, nieuniknione nadejdzie.

Oczy Torill błyszczały w świetle płomieni. Elin zadrżała, mimo ciepła bijącego z ogniska. Miała nadzieję, że to co ujrzała wiedźma, było bardzo odległą przyszłością…

*****

Elin obudziły promyki słońca, wpadające przez błękitną firankę. Odgłos budzika, wyrwał ją z resztek snu. Gdy usiadła na łóżku, przeciągając się, na poduszkę obok, wskoczył

magiczny chowaniec. Podrapała go za uchem, po czym wstała i podeszła do lodówki. Wyciągnęła z niej mleko, które nalała do pustej miseczki.

– Co się z tobą stało? – westchnęła, patrząc jak jej ulubieniec, z lubością oblizuje wąsy. – Kiedyś byłeś piękną wiwerną, na grzbiecie której Ingrid, stoczyła niejeden bój, a teraz jesteś tylko okupatorem salonowego dywanika – mruknęła. – Masz szczęście, że resztką magii, Ingrid zamieniła cię w sierściucha, inaczej ludzie już dawno by cię upolowali i upiekli – pogłaskała chowańca po głowie.

Podeszła do okna i ze smutkiem spojrzała na miasto, skąpane w czarnym dymie fabryki, na którą miała widok ze swojej kawalerki. Za niecałe pół godziny, rozpoczynała się jej zmiana.

Westchnęła, przyglądając się przeludnionemu miastu. Z tęsknotą wspominała minione wieki, kiedy razem ze swoim siostrami, przelatywała nad zielonymi łąkami i niedostępnymi puszczami. Z całego sabatu, tylko ona jedna przeżyła. Zrobiła coś, czego żadna inna wiedźma, zrobić nie mogła, zaakceptowała nadchodzące zmiany. Straciła magię, która znikła wraz z nadejściem rewolucji przemysłowej.

Nawet wielkie potomkinie Norn, nie mogły wygrać w starciu z postępem, rozwojem i nadejściem nowego świata, pełnego hałaśliwych maszyn i pozbawionego pierwiastka pierwotnej natury.

Elin pogrążona w przemyśleniach, nie zauważyła swojego chowańca, który otarł się o jej nogi. Zamruczał głośno i po chwili znalazł się na parapecie. Zaskoczona, nie zdążyła go złapać, gdy wyskoczył przez okno. Zanim jednak dotarł do chodnika, rozłożył skrzydła, a z jego paszczy wydobył się potężny ryk.

Elin przetarła załzawione oczy, obserwując przelatującą nad fabryką wiwernę. Stworzenie wzniosło się wyżej i smagnęło dziko skrzydłami.

Odleciało w stronę wschodzącego słońca…